TRZY dni

Po tylu latach wracałem do tego miasteczka, do którego nigdy mnie nie ciągnęło, z którym kojarzyły mi się tylko dwa najzupełniej niezbieżne fakty, łączące się z przypadkowym, półrocznym pobytem podczas wojny: urodziny mego najstarszego syna i śmierć tego obcego chłopca.

Miasteczko to tkwiło stale w mej pamięci. Jednak przez te lata nie miałem po co tam wracać. Metrykę urodzenia syna zamawiałem kilkakrotnie pocztą — urząd stanu cywilnego przysyłał ją szybko. Niczego więcej nie miałem tam do załatwienia, trasy turystyczne tamtędy nie prowadziły, ludzi miejscowych właściwie nie znałem. Znajomi z okresu wojny — to też przelotne jak ja ptaki, przybysze z różnych stron Polski. A ten chłopiec przecież nie żył.

Musiałem tam teraz pojechać, na krótko, by załatwić dość prostą sprawę, nie wymagającą

dużego zachodu. Patrzyłem oknem na pastwiska poprzecinane rowami, znaczonymi szeregami olch. Ten krajobraz wbił mi się w pamięć wtedy — po półrocznym okresie — gdy uciekając lasami, wychodziłem pełen obaw na odkryty szmat ziemi i trzymałem się tych rowów, olch i kęp wikliny, jak podanej na ratunek ręki. Uciekałem unosząc w pamięci cudzą śmierć spowodowaną być może przez mój własny strach, przez własną chęć życia jeśli już nie dla siebie to dla żony i dziecka.

Nie zapomniałem do dziś imienia i nazwiska tego chłopca, którego znałem tylko niecałe dwa dni. Nazywał się Jurek Borys. Imię jego znałem wcześniej, gdy tylko przyszedł do aresztu. Nazwisko usłyszałem dopiero po wszystkim, z ust gestapowca, a jeszcze dodatkowo od polskiego policjanta, który krótko po wyprowadzeniu Jurka przyniósł mi pajdę chleba i kubek czarnej kawy. Zatrzymałem wtedy granatowego w progu i choć domyślałem się wszystkiego — a właściwie byłem najzupełniej pewien całej strasznej prawdy — zapytałem go:

— Pan wie, dokąd oni go wyprowadzili?

Spojrzał mi z uśmieszkiem prosto w oczy.

— Nie wie pan, po co wyprowadzają człowieka tacy dwaj z trupimi czaszkami na czapkach i automatami w rękach? Borysa złapano w getcie. Pan wie o zakazie wchodzenia do

getta pod karą śmierci? On tam poszedł zwyczajnie plądrować.

Omal nie krzyczałem, słuchając tego nazbyt długiego wywodu. Po co ten człowiek tyle mówił? Wystarczyłby jeden gest.

Znaleźliśmy się z Jurkiem sam na sam nazajutrz po moim aresztowaniu. Niemieccy żandarmi zaprowadzili mnie pod tymczasowy dozór posterunku granatowej policji. W areszcie siedziało kilka osób, potem z godziny na godzinę robiło się przestronniej, a po długiej bezsennej nocy zostałem sam. Jurek doszedł rano. Długo nie rozmawialiśmy z sobą, bo o czym miałem gadać z piętnastoletnim wyrostkiem. Potem na moje zapytanie wyjaśnił, że go tu przyprowadzono z getta. Został sam po rozstrzelaniu ojca i w opustoszałej dzielnicy chciał znaleźć przytułek sądząc, że przy zachowaniu pewnych środków ostrożności będzie tam najbezpieczniejszy. Zamierzał po paru dniach zaopatrzyć się na drogę w wyludnionych domach i powędrować w poszukiwaniu zagubionego brata-bliźniaka.

Ten bliźniak Jurka niepokoił mnie, gdy po latach wracałem pociągiem do tego miasteczka. Jeżeli żył jeszcze — był jedynym człowiekiem, przed którym musiałbym wyspowiadać się, od którego mogłem oczekiwać sądu. Może ten bliź-

niak Jurka okazałby się wreszcie kimś, kto by wydał na mnie sprawiedliwy wyrok?

Gdy siedzieliśmy wtedy w areszcie — już sami — przejrzałem wszystkie zakamarki swego więzienia. Było to dość prowizoryczne pomieszczenie, coś jakby przybudówka do budynku, w którym mieścił się posterunek. Duże żelazne drzwi, prowadzące z pewnością na podwórze, były zamknięte na masywny zamek. Ale z zewnątrz mogła wisieć jeszcze kłódka. Łatwiejszą drogą ucieczki wydawała mi się klapa w suficie — na pewno mniej pieczołowicie zabezpieczona — przez którą można było, podstawiwszy taboret — wyjść na dach. Tę klapę postanowiłem zbadać dokładniej w nocy, gdy Jurek będzie spał. Była moją jedyną nadzieją na wypadek, gdyby mnie w ciągu trzech dni nie wypuszczono. Powiedziałem sobie bowiem: — Do trzech dni.

Do ucieczek byłem już przyzwyczajony. Jesienią 1939 roku zdążyłem siedzieć w dwóch obozach przejściowych i z obydwu uciekłem. W Opatowie taki obóz urządzili Niemcy w kościele, a ponieważ było nas zbyt wielu — również na kościelnym cmentarzu. Tam to właśnie trzeciego dnia przesadziłem kościelny parkan i znalazłem się w mieście.

Może to stamtąd pozostał we mnie przesąd o trzecim dniu? — Nie, raczej z doświadczeń

wysnutych z postępowania żandarmerii i policji. Zwykle trzeciego dnia decydowały się losy znajomych i przyjaciół, którzy popadali w łapy okupanta. Tej myśli uczepiłem się potem podczas decydującej rozmowy z Jurkiem.

Zdrzemnąwszy się na swoim barłogu zbudziłem się nagle, spojrzałem na chłopaka i zauważyłem, że ten, siedząc w kącie, coś majstruje. Wstałem raptownie i szybkim krokiem podszedłem do niego. Domyśliłem się momentalnie, co zamierzał zrobić.

— Co ty tam masz? — zapytałem, widząc jak cofa za siebie obie ręce.

— Nic — odpowiedział.

— Nic? No tylko nie zawracaj głowy. Przede mną nie wolno ci mieć tajemnic. Jest nas dwóch i musimy działać wspólnie.

W wyciągniętej z powrotem ręce trzymał widelec z zagiętym kunsztownie jednym zębem.

— Ty chcesz, idioto, tym otworzyć zamek?

— Oglądałem już, próbowałem, dopasowywałem. — Rozpłakał się nagle. — Ja bym pana w razie czego obudził — tłumaczył się. — Bo ja muszę nawiać w nocy, inaczej mnie gestapo rozwali.

— A mną chcesz sobie tak według własnej woli rozporządzać? — powiedziałem. — Czy ty sądziesz, że oni mnie tu zamknęli z miłości?

Przez ten czas co tu siedzę, oni szukają dowodów. A więc ja też muszę próbować ucieczki. Spróbujemy razem, ale poczekaj na mnie do jutra. Nie chcę pochopnie narażać żony i dziecka. Jeżeli jutro nie wyjdę, zwiejemy razem następnej nocy. I to nie tak jak ty zamierzasz. Tymi drzwiami nie wyjdziesz. Ale chodź, zobacz tę klapę w suficie. Wydostalibyśmy się nią na dach o wiele łatwiej.

Stąpaliśmy na palcach ku temu miejscu. Jurek wpatrywał się w ciemny sufit, na którym rysowały się zamglone kontury naszego okna na świat.

— To prawda — szepnął. — Tędy byłoby łatwiej, ale ja sam nie dałbym rady. Zresztą nie zauważyłem. Tylko... jak mnie jutro rozwalą? Wiejmy dziś.

— Nie — zaprzeczyłem stanowczo. — Mogą mnie jutro puścić, wtedy zniknę im z oczu, ale wpierw odeślę żonę z dzieckiem. A tak, mściliby się na nich. Zdecyduję się na wianie dopiero gdy stracę inne nadzieje.

— To ja zwieję sam.

— Nie zgodzę się na to. Zamknąłbyś mi drogę. Czy oni by mi uwierzyli, że ci nie pomagałem?

— To mam czekać, aż mnie rozwalą?

— Zwariowałeś? Zaraz drugiego dnia? Gdy-

by cię chcieli zlikwidować, to zrobiliby to zaraz w getcie. Po co by cię prowadzili tu?

Jurek westchnął ciężko. Wiedziałem teraz, że choć go nie przekonałem, odmieniłem jego decyzję. Wrócił do swego kąta. Poszedłem jeszcze za nim i zabrałem mu pogięty widelec. Oddał mi go bez oporu. Wtedy spokojnie położyłem się na swoim miejscu.

Rano zbudziło nas skrzypnięcie drzwi. Byłem pewien, że policjant niesie nam kawę i chleb. Ale to byli ci dwaj z trupimi czaszkami. Weszli z automatami w dłoniach, gotowymi do strzału. Jeden z nich krzyknął: — Borys, los!

Chłopak wstał potulnie. Patrzył na nich ze strachem w oczach, przetarł je ze snu, pociągnął dłonią po potarganych włosach i po pogniecionych spodniach. Wyglądał, jakby miał się za chwilę przeciągnąć. Nawet nie wystarczyło mu czasu na to, by na mnie spojrzeć, bo gestapowiec pchnął go lufą ku wyjściu. Nie miałem wątpliwości: tak wyprowadza się człowieka na rozstrzał.

Drzwi z hukiem zamknęły się za nimi. A ja stałem zmartwiały.

Szedłem teraz przez miasteczko, niosąc w sobie tamte obrazy. Wypuszczono mnie wtedy z aresztu po kilku godzinach. Policjant kazał mi już samemu zgłosić się na żandarmerię. Poszedłem posłusznie, by do końca dowieść swej

lojalności, by móc spokojnie, wysławszy w bezpieczne miejsce żonę i dziecko, powędrować w inne strony. Byłem zresztą pewien, że śledzi mnie jakiś tajniak w przekonaniu, że uciekając, zaprowadzę go na dobry trop.

Pozostała potem we mnie ta wiara w zasadę trzech dni, choć z Jurkiem stało się inaczej.

Szedłem teraz przez to samo miasteczko. Załatwiłem szybko zaplanowaną sprawę i zacząłem rozpytywać o Borysa. Musiałem, musiałem odnaleźć Jurka brata. Musiałem usłyszeć jego wyrok, by poczuć się osądzonym, by już więcej nie nękały mnie wspomnienia.

Nie szło mi to rozpytywanie sprawnie, bo nie znałem imienia tego drugiego Borysa. Umiałem sobie tylko wyliczyć, ile musi mieć lat. Poza tym nie znałem ani jego zawodu, ani stanu cywilnego — absolutnie niczego co pomogłoby mi trafić na jego ślad.

— Borys? Borys? — zastanawiali się nagabywani i rozkładali ręce.

Aż wreszcie ktoś mi powiedział: — Borys? Może ten murarz? O, tam! — i opisał mi drogę do jego mieszkania.

Było już dobrze po południu i zastałem go w domu. Mieszkał w małej kamieniczce na piętrze. Przywołany przez kobietę, w której domyśliłem się jego żony, przyszedł flegmatycznym krokiem — zupełnie ten sam — Jurek,

tylko o dwadzieścia kilka lat starszy, łysiejący. Te same melancholijne oczy, ta sama kanciasta głowa, te same barczyste plecy, tylko nieco pochylone wiekiem. Gdy mu oznajmiłem, że chciałbym z nim porozmawiać, wprowadził mnie do pokoju. Siedliśmy przy stole i zapaliliśmy papierosy.

— Znałem pańskiego brata — oświadczyłem.

— Jurka? — zabasował ponuro, ale tak jakby go to nic nie obchodziło.

— A czy pan miał więcej braci?

— Nie, tylko jego, bliźniaka. Ale co pan...

— Rozmawiałem z nim przed samą śmiercią. Może to pana zainteresuje.

Zobaczyłem na jego twarzy wyraz jakby znudzenia. Dopiero po chwili drgnął, zaskoczony. Opanował się jednak natychmiast. Puścił kłąb dymu i powiedział:

— To dawne czasy. — Uczynił odpowiednią do tych słów przerwę i dopiero po chwili dodał: — Ja z tym nie miałem nic wspólnego.

Zdumiałem się: — Jak pan to rozumie? Z czym pan nie miał nic wspólnego?

— A pan? — zapytał nagle, jakby zbudzony ze snu. — A pan może spotkał się z nim tam?

— Gdzie?

— W getcie?

— Nie — zaprzeczyłem szybko. Zaczynałem go rozumieć, a właściwie podejrzewać o coś,

co wydawało mi się nieprawdopodobne. — Siedziałem z nim w więzieniu — wyjaśniłem.

— U granatowej policji?

— Tak.

— No to pan wszystko wie.

— Oczywiście.

— Ja też.

— Pan też wszystko wie o swoim bracie?

— Ukrywałem się u jednej kobiety. Jej sąsiadka prała bieliznę u tego policjanta co miał dyżur, jak gestapowcy Jurka wyprowadzili. Dowiedziałem się wszystkiego. Do dzisiaj mi wstyd za tego szczeniaka.

Te słowa uderzyły mnie jak topór. Oburzyłem się:

— Jak pan może!

Mój rozmówca przeciągnął się na krześle. Potem poprawił się, wyciągnął wygodnie nogi przed siebie i oznajmił z dezaprobatą:

— Przecież plądrował getto. Czy nie tak?

A więc jednak zrozumiałem go od razu dobrze. Ale ta zdobyta teraz pewność wstrząsnęła mną. Przecież nie mogłem pogodzić się z jego określeniem. Powiedziałem szybko:

— To tylko tak pozornie. Tak to wyglądało z hitlerowskiego punktu widzenia. Naprawdę to Jurek ukrywał się tak jak i pan. Tylko że ukrył się gdzie indziej. W getcie.

— E, co pan tak... — machnął niecierpliwie ręką. — Nie ma co upiększać.

Nie zdążyłem nic powiedzieć.

— Nie dość, że hitlerowcy Żydów... To było tak, jakby on im pomagał.

— Ależ Żydzi byli już wywiezieni, a getto zrabowane. On sięgał już po niemieckie. Czynił to właściwie w samoobronie, w walce o własne istnienie.

— To wszystko jedno. Mnie się to od początku nie podobało. Głupio mi tak przed panem mówić na rodzonego brata, ale spotkała go sprawiedliwość.

— Co?!

— Czasem sprawiedliwość idzie od wspólników.

Zaniemówiłem. Właściwie nie miałem już z tym człowiekiem nic więcej do mówienia. Czyż to miało sens, bronić Jurka przed kimś kto powinien być z natury najgorliwszym jego obrońcą?

Przyszedłem do niego z zamiarem samooskarżenia, z zamiarem wniesienia prośby o sąd nade mną, w oczekiwaniu wyroku. A ten człowiek — zamiast mnie — oskarżał tego, który może w jakimś stopniu był moją ofiarą.

Patrzyliśmy na siebie wrogo. Borys zapalił drugiego papierosa i zdawał się wyczekiwać niecierpliwie mojego wyjścia. Ja w konsterna-

cji kręciłem guzik swej marynarki. Odkaszlnął wreszcie, jakby dla stworzenia pozoru, że to nagłe milczenie miało jakąś tylko fizjologiczną przyczynę i powiedział jak gdyby nigdy nic:

— Tak to rozmaicie bywa. A pan za co tam siedział u granatowych?

Nie zamierzałem doszukiwać się w tych słowach podejrzliwości. Ale stał mi się ten człowiek straszliwie obcy. Byłbym poszedł sobie natychmiast, ale mógłby to fałszywie zrozumieć.

— Żandarmeria mnie posadziła.

— Bo ja to poszedłem w las — oświadczył z dumą.

Były mi jego sprawy całkiem obojętne. Zaczynało mnie to wszystko w dodatku nudzić. Spojrzałem więc na zegarek i napomknąłem o rychłym pociągu. Pożegnaliśmy się zimno.

Rozpacz chwyciła mnie dopiero na ulicy. Przez tyle lat powracała do mnie myśl o tym człowieku, pragnąłem podświadomie zbawczej rozmowy z nim, spodziewałem się po tej rozmowie albo oczyszczenia albo wyroku. Tymczasem nie doczekałem się ani jednego ani drugiego.

Sam nie wiem, jak zaszedłem na rynek i znalazłem się przed budynkiem, w którym przesiedziałem tamte trzy dni. W tym budynku

mieścił się teraz posterunek milicji obywatelskiej — co za ironia!

Wszedłem w podwórze. Widziałem teraz po raz pierwszy tę przybudówkę z żelaznymi drzwiami od zewnątrz, zaopatrzoną dodatkowo w wielką kłódkę. Mieścił się w niej nadal areszt.

W momencie gdy chciałem sobie przypomnieć wnętrze tej rudery, by tym łatwiej przywołać w pamięci obraz biednego Jurka, nadleciał strzęp wspomnienia zupełnie nowy, dotychczas całkiem zapomniany. Usłyszałem słowa chłopca wypowiedziane wtedy — słowa do których nie wiem dlaczego nie przywiązywałem dotąd wagi: — Mój brat by mi dał.

Zamknąłem oczy, by wyszperać w zakamarkach pamięci okoliczności, w których Jurek te słowa wypowiedział. I wtedy zrozumiałem, że dotąd pamiętałem z aresztu tylko to wszystko, co wiązało się z moją osobą.

Tak, to było z powodu tego getta. Wypytywałem chłopca, jak układały się ich braterskie stosunki. Dowiedziałem się, że bliźniak wykorzystywał fizyczną przewagę nad Jurkiem, wywierał na nim presję. Bił go po prostu.

— On bił wszystkich — powiedział Jurek. — Wszystkich słabszych. A najbardziej...

— Kogo? — zapytałem.

— Żydów.

— Po co?

— Dawali mu zawsze coś, żeby przestał bić.

Porwałem się z miejsca, chciałem prosto z ponurego podwórka wrócić do tego człowieka — do człowieka, który śmiał być sędzią brata.

Jednak po wyjściu na ulicę zawahałem się. Poszedłem w stronę dworca, wolałem tam poczekać na pociąg powrotny.